

# 0 czasie wolnym w PRL

23 lipca 2020

Gramoląc się z wolna z wstrząsu wyborczego – naród wybrał Andrzeja Dudę na prezydencki stolec w pałacu Namiestnikowskim – zabrałem się do czytania na „Onecie” tekstu wywiadu pani redaktor Agaty Szwedowicz z PAP-u z panem Wojciechem Przyłipiakiem, autorem świeżo wydanej książki, pod frapującym tytułem: „Czas wolny w PRL”.

Nie żeby mnie w niej coś specjalnie zaskoczyło. Jako człowiek stosownej daty i słusznej w tamtym czasie przynależności, miałem cokolwiek do czynienia z tzw. czasem wolnym, nie tylko jako konsument łaby zbiorowej i indywidualnej. Ochoczo włączałem się w organizację czasu wolnego dla ludzi młodych przez Związek Młodzieży Socjalistycznej w rodzinnym Poznaniu, co niniejszym z dumą podkreślam. Wczasowanie a la FWP również nie było mi obce, zatem blaski i cienie tegoż są mi znane poniekąd. Jednak, jakoś ani wtedy, ani całe lata potem, nie spotkałem się gromadnym grymaszeniem na jakąś komunistyczną podpuchę, która skrywała się w bazie i nadbudowie masowego wypoczynku obywateli socjalistycznego do 1989 roku państwa. Tę słusznie uświadomił mi dopiero autor rzeczzonego dzieła, oraz pani redaktor z PAP-u.

Weźmy takie funkcjonowanie bazy owego wypoczynku: małkontenci byli zawsze; a to kaszanka marnie dopieczona, pomidorowa niedoprawiona, niedosolony schabowy. Bywały uwagi do jakości łoża, pościeli oraz wspólnej łazienki. Wypoczywający dzisiaj na francuskiej Riwierze, czy Costa del Sol, też niekiedy grymaszą; czepiają się marnej jakości krewetek i ostryg drażniących wysublimowany gust i powonienie Polaka wypoczywającego za granicą. Czasami zdarza się nie odlecieć na czas do domu z powodu plajty biura podróży. Czekaający na odlot mogą męczyć się i narzekać, owszem, ale jako obywatele wolnej Polski, co im z pewnością rekompensuje doznany stres i niewygodę. Zdarza się, że niektórzy narzekają za granicą na

hotelowe karaluchy. W PRL-u karaluchy bytowały również w miejscach wypoczynku, tyle że te polskie, w PRL, były pewnie czerwone.

Tytułem osobistego otarcia się o organizowanie czasu wolnego młodzieży w PRL, czuję się być nieco upoważnionym do skomentowania książki. Przywykłem do tego, że piszących artykuły i wywiady dla Onetu na temat PRL – szerzej niedawnej historii – łączy żarliwe przywiązanie do rytuału dokopywania dawno poległej Ludowej. Ci młodzi na ogół ludzie, realnie nie mogący pamiętać czasów, które dzisiaj gorliwie opluskwiają, wiedzę i poglądy w temacie czerpią ze źródeł niekoniecznie mądrych i dostatecznie wyważonych – tak zostali wychowani. Zresztą, jak mają być mądrymi, skoro np. książkową – szkolną – wiedzę o naszej niedawnej historii zawłaszczyli prawicowi fanatycy. No i „etos”. Nie da się zaprzeczyć, że kanonada czarno-białej, antykomunistycznej obróbki po 1989 roku, do pewnego stopnia w tamtym czasie racjonalna i zasadna, zrobiła swoje – w skutkach jednak posunęła się o przysłowiowy „jeden most za daleko”: odebrała wielu rozum, wciskając mózgi i namiętności w sztancę rytuału stygmatyzowania polskiej „komuny” barwą wyłącznie czarną i posępna, bez pamięci dla jej licznych, oczywistych zasług dla Polski i Polaków, przy kompletnym braku szacunku dla geopolitycznych powikłań i realiów. Z tego samego źródła twórczej łatwizny zdaje się czerpać pani redaktor Szwedowicz. Nie wątpię, że niezachwianie wierzy w słuszność kierunkowych pytań – komentarzy, które podsuwa panu Wojciechowi, autorowi rzeczzonej książki. Ten zaś, jak wnioskuję z treści rozmowy, pożegłował w swym dziele, przynajmniej miejscami, w kierunku jedynie słusznym: co by ta władza w PRL robiła, i nie robiła, wszystko było do dupy – no, może nie całkiem – i podporządkowane mitycznym knowaniom „komunistów”. Nawet czas wolny, byt zdawałoby się wypłukany z niemilej obu rozmówcom ideologii – ideologii jakiegokolwiek – służył „komuchom” do niecnego manipulowania obywatelami. To już nie tylko jakaś intencyjna aberracja, ale również dowód, jak czarno – białe schematy myślenia o Polsce Ludowej

przeżarły mózgi mnogiej części osób, nie tylko starszych, także młodych i zdolnych poniekąd. I nie rzecz w tym, aby próbował wybielać powojenną Polskę, gdyż na przyganę w wielu obszarach zasługuje, lecz przypisywanie bytowi społecznemu, jakim był akurat „czas wolny” w realiach tamtego państwa, funkcji zasadniczo politycznej; narzędzia manipulowania obywatelami (może nawet niewolenia) to już grube przegięcie faktyczne i nadużycie intelektualne o cechach usługowej propagandy, czego poniżej i pokrótce postaram się dowieść, nie licząc przy tym na zrozumienie autora książki i jego rozmówcy.

Zresztą w państwie „totalitarnym”, co brzmi sugestywnie i dramatycznie, za jakie bezrefleksyjnie uchodzi PRL na całej długości trwania, wszystko było polityką. Czas wolny, przynajmniej ten masowy, również politycznym był. Ale błędem jest formułowanie na tej podstawie wniosków o jakiejś powszechnej marności gromadnego wypoczywania na pracowniczych urlopiach. Nie ma sensu podkreślać przewag sposobów i form wypoczywania Polaków w III PR nad tymi, które były dostępne w Polsce ludowej. Są to przewagi oczywiste.

Jasne, że w demokracji każdy może posiadać i głosić poglądy dowolne, niekoniecznie zgodne z sądami innych, nawet, jak potwierdza praktyka, nie w pełni odpowiadające stanom faktycznym zjawisk, których dotyczą. Wolno pisać co się chce, przy czym, jeśli meritum pisania ma tę cechę, że „płyńie po linii i na bazie” można liczyć na kasę na wydawnictwo, co, jak nieśmiało miemam, spotkało autora omawianego „dzieła”. Polityka każdej władzy – tej Ludowej w latach 1945 – 1989, oraz aktualnej tamtej przeciwna i krytyczna – kreuje własne centra ponętnej grawitacji, pochłaniającej co niektóre, zdolne, ludzkie potencjały. Masę grawitacyjną tworzą pasujące władzy sądy, np. te dotyczące historii, także kasa z publicznej kiesy wspierająca twórczość władzy miłą. Jak powszechnie wiadomo, i wtedy i teraz można jakość żyć z kadzenia rządzącym oraz z dopiekania jej wrogom prawdziwym albo urojonym. Boczyć się na to nie zamierzam. Jasne, że

partia i rząd w PRL kreowały i realizowały politykę społeczną swego autorstwa, także, i między innymi, w odniesieniu do „czasu wolnego” obywateli. Jednak niepoważnym jest sugerowanie, że z tej polityki płynęły jakieś masowe, czy grupowe nieszczęścia i niedogodności dla beneficjentów ośrodków wypoczynkowych FWP; że uczestnicy wczasów wagonowych na Helu, czy też licznych firmowych wypasów relaksacyjnych w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych w górach i nad morzem byli, przez sam fakt pobytu w tychże, poddawani nieświadomionej im indoktrynacji, która, kto wie, ich wypoczywanie czyniła męczącym. Czytając rzeczony wywiad można dojść do wniosku, że „komuniści” przymuszali naród do wypoczynku a la FWP; ten zaś narodowi nie pasował – ideologicznie. Cechą tamtego czasu była oczywista masowość wczasowania pod organizacyjną postacią jak wyżej, ta zaś wynikała m. innymi z braku szerszej, realnej dla niej alternatywy, przynajmniej początkowo, co wcale nie znaczyło, że za wypoczynkiem gromadnym podążały złorzeczenia i pomstowanie ludu na organizatorów wczasowania, oraz na władzę Ludową. Korzystały z niej na ogół osoby nieco starsze: rodzice z dziećmi i dziadkowie z wnukami, bo te oferowały szereg ułatwień. Wielu, zwłaszcza młodych, wypoczywało na własną rękę, taszcząc namiot i plecak, udając się w wędrówkę po Polsce autostopem, czy też podążając do celu rowerami, pociągami lub autobusami PKS. Powoli nabierał na znaczeniu wynajem prywatnych kwater. Począwszy od lat sześćdziesiątych Polacy zaczęli wypoczywać za granicą – w demoludach, dokąd wyjeżdżali uzbrojeni we wkładkę paszportową oraz socjalistyczne dewizy. Wypoczynek zagraniczny trudno było nazwać masowym, ale istniał i powoli się rozwijał. Z wielu powodów, nie tylko politycznych, wypoczywanie na Zachodzie należało do śladowych. Pytam, cóż w tym złego i politycznie pokrętnego, że „władza ludowa zrobiła sobie z czasu wolnego dla ludu pracy sztandar i potraktowała rzecz priorytetowo”. Czyż władza demokratyczna żadnymi sztandarami nie wymachuje pod nosem narodu? Trzeba mieć marne intencje, aby potraktować rzecz tak głęboko zaczepnie i uszczypliwie. Wygląda na to, że

rozmówcy kompletnie pogubili się i nie rozumieją, czym była instytucja masowego wypoczynku we sponiewieranej wtedy niedawną wojną Polsce, również lata potem, dla ludzi, którzy w większości mieli żywo w pamięci przedwojenną mizериę i brak realnych perspektyw na życiowy rozwój. I godny wypoczynek. I nie jest to żadna komunistyczna propaganda. Autor książki wprawdzie zauważa, że w II RP wypoczynek – w Gdyni i Sopocie, w Zakopanem i Druskiennikach, szerzej gdziekolwiek, – przynależał do elit, ale wyciąga z tego, jak się zdaje, wnioski opaczne. Daje temu wyraz w dalszym komentowaniu swojej książki, na który w sposób jedynie słuszny naprowadza go pani redaktor z PAP-u, więc z „firmy” realnie i ideowo podporządkowanej władzy PiS. Jasne, że wbrew propagandowym komunikatom władzy, wczasy w PRL nie były „dla wszystkich”, lecz z pewnością były realną i ożywczą nowością dla ogromnej rzeszy ludzi, którzy przed wojną, epoką dziś modnie pudrowaną, mogli sobie o czymś takim najwyżej pomarzyć. I to jest ważniejsze od dywagacji: „masowe” czy „nie masowe”. Uczciwość wymagałaby to zauważyć. Komunikat propagandowy władzy ludowej autor odczytuje dosłownie, a za brak jego spełnienia gani „komunistów”, mając za nic ów, co by nie powiedzieć, masowy rzeczywiście charakter wypoczynku organizowanego przez państwo i jego agendy. Nie trzeba nikogo przekonywać, że miał wady, w ogromnej mierze materialne, także organizacyjne. Bywało, że i śmieszności: instytucja mitycznego dziś kaowca, wcale nie powszechna na wczasach FWP jakby wynikała z sugestii sączonej z rozmowy, tu i ówdzie istniała, bywała niekiedy poręczna także przy zabawianiu dzieciaków. Odwołanie się do filmu Barei zdaje się tu być czytelne, tyle że nietrafne, gdyż stanowiło w filmie o statku na Wiśle szerszą, inteligentną metaforę. Autor książki utrwała legendę wszechobecnego i wszechmocnego kaowca – partyjnego natręta; rozdyma ją do gabarytów kajzerowskiego Zeppelina. Twierdzenie autora, że: „poprzez kaowca państwo kontrolowało czas wolny uczestników wczasów” zakrawa na obrazę zdrowego rozsądku, a nawet inteligencji; należy pewnie dalej czytać, że obserwował i donosił. To już jakaś paranoja. Równie przegięty jest np. obraz obozu (obozów), akurat dla młodych

małżeństw, organizowanego przez ZSMP, nadanie temuż powszechności posępnej poprzez optykę mało znanego filmu Łozińskiego nakręconego w 1977 roku, na który pan Przyłipiak powołuje się w rozmowie z panią redaktor z PAP-u. Filmu nie widziałem. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy pokazywał przypadek realny, czy też jego scenariusz został artystycznie wydumany przez reżysera. Jakkolwiek było, dzieło to musiało być dla autora książki „wybitne”, i miarodajne; zatem reprezentatywne dla całości postponowanego zjawiska. Wedle mej wiedzy w temacie – ta jest nie najgorsza – sugerowanie, że na obozach ZSMP nauczano, czy też przymuszano wręcz, do donosicielstwa – szerzej, do zachowań po ludzku niegodnych, jest kompletnie oderwane od rzeczywistości. Przynajmniej tej powszechnej. Choć autor nic takiego nie pisze, młody, podlewarowany ideowo przez propagandę PiS czytelnik, może sobie wydumać, iż te były – kto wie – podobnymi w tzw. treściach wychowawczych do obozów Hitlerjugend, a nawet, nie daj Boże, do ruskiego Komsomołu. Jakże miałyby być inaczej, skoro, nauczano na nich, rzekomo, kapowania na siebie oraz innych rzeczy po ludzku paskudnych. Trudno uwierzyć, że autor książki nie wie, iż przede wszystkim na nich całkiem przyjemnie wypoczywano i bawiono się, nawet kwitły miłości finalizowane potem ślubami – kościelnymi. Autorowi nie przyjdzie do głowy, że „ideowość” realna owym obozom przypisana do upierdliwych nie należała. Osobiście nie znam nikogo, kto by je wspominał wedle poetyki pana Przyłipiaka i pani Szwedowicz. Być może obaj rozmówcy znają kogoś takiego.

Tak przy okazji i na marginesie: działaczom ZSMP dopiekł słusznie sam mistrz polskiego kina, Kieślowski. W sugestywnym wątku obrazu „Przypadek” ukazał członków tej organizacji jako wypłukane z kompasu i kręgosłupa moralnego indywidua, przykładające czerwoną łapę do niszczenia zakładowych opozycjonistów. I znowu, nie da się stwierdzić, czy nasz wybitny twórca pokazał kawałek znanej mu rzeczywistości, czy też wyłącznie ją modnie sobie umyślił i hamletyzował, co należało za tamtego czasu do twórczej, dobrze widzianej maniery. O ile

mi wiadomo, ZSMP nie angażował się w polityczne zatargi i rozrachunki lat osiemdziesiątych, gdyż w klimacie tamtego czasu wytracał swój ideowy i organizacyjny potencjał. Do realnej walki z opozycją Związek się nie garnał. Lecz, kto ośmielił się poddawać w wątpliwość prawdomówność Kieślowskiego, który, jak powszechnie wiadomo – wielkim reżyserem był.

W kolejnej części wywiadu jego uczestnicy ganią „komunistów” za to, że: „wiele imprez kulturalnych organizowano właśnie w niedziele, żeby wybić obywateli z rytmu kościelno – rodzinnego” – po to by obywatele nie uczęszczali na msze. To już jakaś żenada. Brakuje uwagi, że komuna przymuszała młodzież do uczestniczenia w owych imprezach. Te, owszem bywały, i to w niedziele, bo kiedy miały być. Co najwyżej nęcono nimi. Kto chciał walił do kościoła, kto chciał na „antykościelną” imprezę, wielu miało w nosie jedno i drugie. Jakkolwiek sytuacja w tej materii była dynamiczna, po 1956 roku zatraciła polityczną wyrazistość, nigdy nikogo nie ciągnięto za łeb i uszy gdziekolwiek i na cokolwiek, więc niech autor nie hamletyzuje i nie kreuje na siłę problemu, który był realnym marginesem. Nie mógł podobać się Kościołowi, lecz przy tym nie skutkował dolegliwością ludowi powszechną.

Co się tyczy „martyrologii” dzieci w Polsce Ludowej, autor widzi wprawdzie plusy socjalistycznego wychowywania najmłodszych, ale zaraz poprawnie dodaje: „z drugiej strony wiele dzieci puszczonych samopas, nudziło się, przemierzając podwórka w poszukiwaniu jakiegokolwiek rozrywki.” To rzeczywiście bardzo odkrywcze. Zapytuję, czy w zachodnich demokracjach tamtego czasu dzieci miały inaczej niż w Komunie. Śmiem twierdzić, że lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte stanowią dla pierwszego pokolenia Polski Ludowej, do którego mam honor należeć, najlepszy czas w ich życiu. Potencjał poczucia podwórkowej wolności i bezpieczeństwa nie różnił się niczym od współczesnego. Jak zawsze i wszędzie bywały wyjątki, jednak czynienie z nich reprezentatywnych dla zjawiska uogólnień nie zasługuje na miano racjonalnych. Opinię o

podwórkowej i szkolnej wolności tamtego czasu podpowiada mi osobiste doświadczenie, wiedza oraz intuicja; zawsze znajdują się niepodzielający mej opinii. Było z pewnością biednie – chleb z cukrem lub margaryną, owinięty w Trybunę Ludu lub inne organa Partii, mamy zrzucały nam z okien. Kawałkami gazet podcierały nam tyłki, bo papier toaletowy do dopiero przyszłość. Było może szaro zewnętrzne – połatanie portki i pończochy – ale dzieciństwo mieliśmy wewnątrz kolorowe i przede wszystkim zdrowe i bezpieczne na ogół. Czy naprawdę trzeba wyjaśniać, dlaczego. W odróżnieniu od wielu dzieciaków Polski przedwojennej nie chodziliśmy głodni, co w tamtym czasie miało jakieś znaczenie zwłaszcza dla naszych rodziców. Nie odczuwaliśmy też jakiegoś dramatyzowanego dziś łaknienia pomarańczy i bananów. Te jakkolwiek „rzucano” od święta, co marnie świadczyło o socjalistycznej gospodarce, nie przechodziło w nas w traumę, co zdają się niektórzy sugerować. Uważamy – zarozumiale i pewnie nie do końca słusznie – że to nasze dzieciństwo podwórkowe i szkolne było lepsze od dzieciństwa i młodości naszych dzieci i w wnuków w tzw. wolnej Polsce. Ponieważ z poglądem tym można się zgodzić lub nie, warto przyjąć tezę neutralną, głoszącą, iż po prostu było „inne”. Autor bierze sobie do wrażliwego serca „dziecięce” filmy tamtego czasu. Wysupłując z nich co niektóre kawałki, poddaje je potem reinterpretacji własnej pod jedynie słusznym kątem. Odpuszczę sobie komentowania detali, gdyż autor, mając ku temu prawo, przesadza moim zdaniem. Wersja „komunizmu” po polsku, realizowana w odniesieniu do najmłodszych, więc, w odróżnieniu od dorosłych politycznie nieświadomych, nie szkodziła tymże na żaden sposób. Z czasów dziecięcego bytowania w „reżimie” zapamiętałem pozapolityczną dolegliwość, jaką stanowił obowiązek picia tranu. Był rzeczywiście paskudny w smaku, co daje mi prawo czuć się ofiarą. Śmiem twierdzić, że system, pomimo oczywistych wad i braków, dobrze dbał o najmłodszych, czyniąc to, rzecz jasna, na miarę ówczesnych możliwości. Nie trzeba przekonywać, że głęboko innych, zwłaszcza uboższych od dzisiejszych. Kolejne dziesięciolecia polskiej „komuny”, pomimo politycznych poślizgów i zakrętów,



nie da się zadekretować jako nieszczęścia powszechne, kaleczące pamięć oraz duszę prawdziwego Polaka. Nawet sztucznie i na siłę mitologizowany przez nieustannie walczących z komunizmem (postkomunizmem) stan wojenny, znajdował po pewnym czasie całkiem spore zrozumienie wśród Polaków, co również zakłócało dobre samopoczucie tzw. etosu.

Nie mam zamiaru czepiać się uwag pana Wojciecha Przyłipiaka na temat wspomniania „tamtego czasu” przez osoby starsze, o czym powiada w wywiadzie. Dobrze pamiętam sondaże czynione na ten temat w latach dziewięćdziesiątych, także potem. Wynikało z nich, że większość Polaków dobrze wspomina PRL, co jakoś nie pasowało do etosu. Nie da się zaprzeczyć, że niektóre osoby wychowujące się na początku lat osiemdziesiątych np. w Słupsku, gdzie była szkoła milicyjna, nie czuły się szczególnie szczęśliwie, gdyż zapamiętały „dziesiątki samochodów z milicjantami kierującymi się w stronę Gdańska, by tłumić strajki”. Mają prawo uważać, że był to „straszny czas”. Jakkolwiek takie uczucia nie należały do powszechnych, nie mam zamiaru ich szargać. W emocjonalnie rozchwianych latach osiemdziesiątych każdy doznawał doświadczeń własnych, wedle których współcześnie odmierza i wartościuje swoją historię. Trudno uwierzyć, że poniekąd naturalny sentyment do dzieciństwa, szerzej do młodości, mógł zostać skutecznie przytłumiony złymi doświadczeniami z lat władzy Jaruzelskiego – łącznie ze stanem wojennym, który od lat podlega dyktowanym polityką teatralnemu dramatyzowaniu. Wypada tu zapytać nieco trywialnie, ile było takich osób, którym komuna tak dopiekła, że skasowała przyjemną stronę wspomniania młodości?! Jasne, ani autor, ani ja tego nie wiemy. Jednak sugerowanie istnienia powszechności, czy też jakiegokolwiek szerszej traumy po PRL, należy moim zdaniem do wydumanych, więc bytujących poza Realem. Warto dodać, że wielu niegdysiejszych potępiaczy i pogromców „komuny” czuje się dziś rozczarowanymi owocami swej walki – wszak, nie o take Polske walczyli.

Na sam koniec czuję się w obowiązku zwrócić autorowi uwagę, że

każdy czas, nawet ten w demokracji, jest przesycony walką o marzenia. Bardzo rozmaite. Czy ci, którzy próbowali wtedy „funkcjonować po swojemu” byli za tą przyczyną „antysystemowi”, zaś swoją rozmaitą aktywność osobistą kreowali z intencją oraz w oparach sprzeciwiania się komunie? Kto w PRL przeszkadzał pionierom autostopu; autostopowiczom w ogóle; czy rzeczywiście „komuniści” walili kłody pod płetwy pionierom fotografii podwodnej; a może za pierwszymi próbami caravanningu po polsku skrywała się demonstracja, chęć pokazania wała władzy ludowej wraz z jego „masowością” wypoczywania. Czy naprawdę, jak pisze autor, zaledwie „kilka osób (które wymienia) „szło własnym torem, próbowało żyć poza systemem” I tu nie za bardzo wiadomo, jaki „system” miał pisać na myśli: skoro wypoczynek masowy był nieodrodnym dzieckiem ówczesnej władzy, mam powody mniemać, że chodzi o politykę. Bez przesady panie autorze dzieła „Czas wolny w PRL”. Powołuje się pan na osoby i przypadki realne. Te byłyby „antysystemowe”, gdyby ich uczestnicy czynili je w intencji politycznej. Fotografia podwodna i caravanning należały w tamtym czasie do raczkującej nowości. Na ich powszechność trzeba było jeszcze długo czekać. Szliby „pod prąd” czegoś tam, gdyby władza ludowa czyniła np. wstręty we wdrażaniu ich fajnych pomysłów. Może jestem niedouczony, ale o takich mi nie wiadomo. Sam, jeżdżąc po Polsce z namiotem, także korzystając z innych „wolnych” możliwości konsumowania szkolnych wakacji, potem urlopów, również zakładowych, dostępowałem poczucia nieskrępowanej wolności i wewnętrznej autonomii. Twierdzą, nie tylko ja, że uczucia te należały do powszechnych. Władza ludowa nikomu nie przeszkadzała w wypoczynku, jakimkolwiek i gdziekolwiek. Nie brzydziła życia pionierom, przecierającym nowe możliwości uprawiania czasu wolnego. Nawet pionierzy nudyzmu po polsku, po pierwszych nieprzyjemnościach serwowanych przez zaskoczoną golizną obywateli władzę – patrz np. martyrologia Janusza Głowackiego przed kolegium orzekającym – prześladowanymi przez „komunę” nie byli. Czy autor naprawdę wierzy, że ci „pionierzy szli pod prąd (sic!) zaś masa – efwupowska zapewne – poddawała się oficjalnemu

biegowi"? Cechą propagandy detonowanej po 1989 roku, obecnie karykaturalnie wzmożonej przez prawicowy fanatyzm, jest nie tylko rytualna, czarno – biała obróbka Polski Ludowej. Osobliwością jest jej irracjonalność, za którą od niemal czterdziestu lat podąża szczucie na siebie Polaków wedle wątpliwych moralnie, dawno zwietrzałych, jedynie słusznych kryteriów. Czyż pan Wojciech Przyłipiak, pisząc o tych, co „szli pod prąd” oraz o tych, co „poddawali się oficjalnemu biegowi” nie przykłada ręki do podziału – domyślnego przynajmniej – na Polaków lepszych i gorszych. Grzechem jest nie samo twierdzenie jak wyżej, do czego autor ma twórcze prawo, lecz kryjąca się za nim domyślność, wedle której jedni byli szacunku godni, ci drudzy już niezupełni skoro płynęli z niesłusznym prądem. Dzisiejsi propagandziści odmawiają prawa do czerpania życiowej satysfakcji wielu osobom, tylko dlatego, że te w jakiś sposób były, czy też czuły się związane z Polską Ludową, względnie, nie tylko uznawały tamtą państwowość za normalną i znośną, lecz przede wszystkim za politycznie uprawnioną na gruncie ówczesnej geopolityki oraz prawa międzynarodowego. Brak rozsądku jest nieustannie w Polsce nagradzany. Bezrefleksyjne hamletyzowanie tamtego stanu rzeczy politycznej i społecznej urosło w Polsce do rangi patriotycznego obowiązku. Przepoczwarzyło się w dobrze widzianą manierę intelektualną i towarzyską, Także, niestety, dziennikarską. Rzeczona książka to jeden z mnogich, wedle mej oceny, twórczych odprysków „filozofii” podziałów, i utrwalania politycznych stygmatów po polsku. Jak widać, nawet „czas wolny” da się podłączyć do propagandowego megafonu, głoszącego narodowi rzekomą marność Polski Ludowej.

I wreszcie Puenta: swych przemyśleń nie pisałem w gniewie, bliższe mi było zatroskanie o duchowe zdrowie i polityczną oraz historyczną trzeźwość Polaków. Nie miałem specjalnych powodów, aby akurat czepiać się książki autorstwa pana Przyłipiaka. Tę potraktowałem jako pretekst – przypadek jeden z wielu. Chcę wyraźnie zaznaczyć, że sądy własne na jej temat wywiodłem wyłącznie z ducha i litery wywiadu, z którym

zapoznałem się na „Onecie”. Książki nie czytałem, co nie znaczy, że okazuję lekceważenie jej autorowi, wszak odnajduję w niej (w wywiadzie) również konstatacje trafione i obiektywne; dowodzące znajomości omawianej materii oraz badawczej dociekliwości autora. Nie przeczę, że książka może być na swój sposób ciekawa. My „komuniści” zostaliśmy dobrze wychowani w „reżimie”; przez rodziny oraz szkołę – przez Kościół już niekoniecznie. Jeśli nam w czyjejs pisarskiej twórczości coś nie pasuje i uważamy ją za oderwaną od rzeczywistości, dobrze życzymy autorom. Na boczymy się również na kasę, którą przy tym uda się im zgarnąć. Miotamy się w żalu własnym, że ich pisanie trafia do księgarń, a takie jak akurat moje, niniejsze, także mu podobne, podąża w państwie PiS – poza łamami Trybuny, której cześć i chwała – na wydawniczy Berdyczów. I tutaj bliski mi przykład: środowisko, z którym czuję się przyjacielsko związany, nie miało najmniejszych szans na uzyskanie wsparcia ze środków publicznych na wydanie cyklu książek wspomnieniowych o Związku Młodzieży Socjalistycznej w Wielkopolsce. Uczyniliśmy to sumptem własnym, pozostając w nadziei na nadejście w ojczyźnie czasu rozumu i opamiętania się. Ale, czy i kiedy nadejdzie. Na koniec i przy okazji pytam: czy głosujący w niedawnych wyborach prezydenckich na Andrzeja Dudę. nie poddali się przypadkiem oficjalnemu biegowi, miast iść pod prąd? Oto jest pytanie.

Autorstwo: Andrzej Wierzbicki

Źródło: [Trybuna.info](http://Trybuna.info)